
REGAŁ Z KSIĄŻKAMI

- **Grażyna Legutko, „Wyrosłam na Rosjanę...”. *Historia Marii – jakuckiej córki Wacława Sieroszewskiego – w świetle jej listów do ojca i innych dokumentów*, Polskie Towarzystwo Ludoznawcze, Wrocław 2019, s. 261.**

Co czytać podczas jesiennych lub zimowych wieczorów? Najlepiej ciekawe biografie. Książka napisana przez Grażynę Legutko, opatrzona *Wstępem* Antoniego Kuczyńskiego i *Postowiem* Jerzego Fićko to tytuł warty polecenia. Złożona z dwóch części książka zawiera historię Wacława Sieroszewskiego i jego pierworodnej córki Marii nazywanej Maszą oraz listy Marii do ojca pisane w latach 1925-1933.

Przypomnijmy, że w 1880 roku Wacław Sieroszewski, późniejszy pisarz, etnograf i polityk trafił do Jakucji. Na zesłaniu pojął za żonę Jakutkę, Arinę Czełba-Kysę (Annę Slipecową), która urodziła mu córkę Marię. Po przedwczesnej śmierci żony wskutek gruźlicy i zapalenia płuc Wacław uznał formalnie Marię za swoje dziecko i opiekował się nią aż do wyjazdu z Syberii w 1894 roku, kiedy to zostawił ją u państwa Landych w Irkucku. Do lat trzydziestych XX wieku Maria utrzymywała kontakt z ojcem, potem listy przestały przychodzić, a o córce pisarza zaginął wszelki śluch. Tak można byłoby streścić życie znanego ojca i pozostawionej na rosyjskiej ziemi córki. Nie dla Grażyny Legutko takie proste schematy i pobieżne stwierdzenia. Autorka stara się ułożyć biografię Marii Sieroszewskiej z „puzzli” informacji lub jak sama mówi z okrucich zawartych w listach i innych dokumentach (s. 13). Nie ocenia i nie moralizuje, tylko przedstawia fakty i wydarzenia ze znawstwem tematu.

Część pierwsza zatytułowana *Biografia w okrucich* odwołuje się do życia i twórczości autora *Dwunastu lat w kraju Jakutów*, następnie wyjaśnia kim była Arina Czełba-Kysa i jak wyglądało ich wspólne życie. Grażyna Legutko pisze: „Z pewnością matka Maszy odegrała kluczową rolę nie tylko w szybkiej nauce języka jakuckiego i orientacji w terenie, ale także w jego początkowych pracach etnograficznych – dzięki niej zdobył podstawową wiedzę na temat zwyczajów i wierzeń tubylców, ich kultury, mentalności, sposobu postrzegania świata itp.” (s. 25), ale czy w tym związku były szalone uczucia, fascynacja – słowem miłość? Odpowiedź na to pytanie znajduje się na kartach książki, podobnie jak wyjaśnienie daty urodzin Maszy. „A zatem nie ma wątpliwości, że córka Sieroszewskiego urodziła się 25 stycznia (6 lutego) 1881 roku. Pewne jest również miejsce jej urodzin – przysłała na świat w Wierchojańsku w domu Kozaka Bolszowa, u którego Wacław z Ariną wynajmowali [...] małą izdebkę” (s. 29). Życie małej Marii od początku

nie było łatwe. Oddana na wychowanie krewnym Annuszy mieszkającym w okolicy Wierchojańska, przebywała tam pięć lat. Następnie wraz ze śmiertelnie chorą matką dotarła do ojca przebywającego w bajagantajskim ułusie (w okręgu jakuckim). Po śmierci matki mała dziewczynka mocno przywiązała się do ojca, z którym przebywała osiem lat. Razem z nim wiodła zesłańcze życie, kształtowała swoją tożsamość w rosyjsko-polskich społecznościach. Autorka recenzowanej książki zauważa: „Jak każda nastolatka była ciekawa świata i to ojciec w dużej mierze ową ciekawość zaspokajał, dzieląc się z jedynaczką swoją wiedzą lub podsuwając jej do czytania odpowiednie książki” (s. 49).

Luty 1894 roku był dla Wacława Sieroszewskiego szczęśliwym czasem, bowiem uzyskał pozwolenie wyjazdu z Syberii do Petersburga, czyli zakończył zsyłkę w głąb Rosji. Mimo zesłańczego *happy endu* to smutny fragment książki, bo Masza znowu została rozdzielona z ojcem, została powierzona opiece przyjaciół mieszkających w Irkucku: Stanisława Landego i jego żony Felicji. Autorce nie udało się dotrzeć do jednoznacznych przyczyn pozostawienia jedynaczki w Rosji, ale podkreśla: „Dokonał wyboru, który w przyszłości będzie się wiązał z szeregiem nieuchronnych następstw w życiu Maszy” (s. 49). O tych następstwach możemy przeczytać w dalszej części publikacji. Maria Sieroszevska przebywała w Soczi, Moskwie, Irkucku, a czas i odległość rozluźniły więzy z ojcem. W wielu opracowaniach o życiu i twórczości Wacława Sieroszewskiego pojawiają się stwierdzenia, że wyparł się azjatyckiej córki, co Grażyna Legutko podważa pisząc: „Z postawą wyparcia nie licuje przede wszystkim chęć sprowadzenia Maszy do Polski w latach rewolucji 1905-1907. A był to czas w życiu Sieroszewskiego nie najłatwiejszy” (s. 63). Masza nie zdecydowała się na przyjazd do Polski, natomiast wyjechała z Landymi z Irkucka do Moskwy.

Spotkanie z dawno niewidzianym ojcem i jego nową, polską rodziną miało miejsce w Paryżu w 1914 roku. Wówczas trzydziestotrzyletnia Maria poznała trzech swoich przyrodnych braci i żonę ojca. „Po spotkaniu w Paryżu kontakt między córką a ojcem urwał się aż na jedenaście lat” (s. 66), co było spowodowane wojną, sytuacją polityczną i zaangażowaniem Wacława Sieroszewskiego w działalność polityczną i narodową. W 1930 roku Masza przyjechała do Polski, gdzie spędziła z polską rodziną w Gdyni ponad miesiąc. Po powrocie do Moskwy planowała kolejne wyjazdy do kraju ojca, ale „władze sowieckie wstrzymały niemal wszystkim obywatelom pozwolenie na wyjazdy zagraniczne” (s. 70). Pozostały listy, w których pisała o swojej ciężkiej doli, biedzie, ale także o swoich upodobaniach, pasjach, preferencjach. „Jak na księgową przystało, była niezwykle sumienna i rzetelna w pracy. Z pewnością była też osobą altruistyczną – bardziej niż własne położenie obchodził ją los innych, zwłaszcza starych znajomych ojca (byłych zesłańców politycznych) i dawnych koleżanek, żyjących na skraju ubóstwa” (s. 74). Nie założyła własnej rodziny, ale też obawiała się przeprowadzki do Polski. Jak pisze Grażyna Legutko: „Wychowana w innej kulturze, w innej mentalności, w innym systemie wartości, obawiała się kolejnego wykorzenienia. Przeniesienie się z jednej kultury do drugiej, ze świata oswojonego do nieznanego było dla niej zbyt trudne. Przekroczenie granic kultury rosyjskiej, którą traktowała jak własną, okazało się zadaniem ponad jej siły” (s. 77). „Wyrosłam na Rosjankę, nie wiem tylko, czy dobro” (s. 78) to zdanie jest kwintesencją poszukiwań tożsamości

ciowych Maszy. Sama dokonała wyboru wśród jakucko-polsko-rosyjskiej kultury, a proces ten był naturalną konsekwencją wpływu środowiska wychowawczego. Autorka recenzowanej publikacji stara się wniknąć w osobowość Marii Sieroszewskiej, zrozumieć jej działanie, a zwłaszcza odrzucenie propozycji przeniesienia się do kraju ojca, które nie wynikało z braku miłości. „Jej bezgraniczną miłość do niego zaświadczały niemal wszystkie listy” (s. 83), tylko wrośnięciu w rosyjską ziemię.

W życiorysie Marii Sieroszewskiej brak ostatniego etapu życia. Korespondencja z ojcem urywa się w sierpniu 1933 roku. „Nie wiadomo, gdzie przebywała w czasie II wojny światowej i jakie dokładnie były jej powojenne losy. Badacze podają na ten temat często wzajemnie wykluczające się informacje” (s. 85). O różnych hipotezach dotyczących życia Maszy można przeczytać w publikacji Grażyny Legutko. Ostatecznie udało się na jednym z cmentarzy moskiewskich odnaleźć grób Marii Sieroszewskiej, ale ostatnie lata życia są nadal trudne od odtworzenia i kryją wiele niejasności.

Wielu badaczy pochyliło się i nadal pochyli się nad biografią i twórczością Wacława Sieroszewskiego, uwzględniając również losy jakuckiej córki pisarza. Grażyna Legutko odwróciła perspektywę, poprzez życie, a zwłaszcza listy Maszy przedstawiła zesłańca, pisarza i działacza politycznego – Wacława oraz relacje ojca z córką. W jej książce Maria Sieroszevska wyrosła na przedstawicielkę dzieci zrodzonych ze związków mieszanych, w których ojcem był polski zesłaniec i „zawieszonych” między różnymi kulturami, często nieakceptowanych. Los Maszy był dwójnasób trudny, z jednej strony ojciec katorżnik, z drugiej brak matki. Bez wątplenia taka sytuacja odcisnęła piętno na osobowości młodej dziewczynki, a później panienki i dorosłej kobiety.

Drużga część książki to *Listy Marii Sieroszewskiej do ojca z lat 1925-1933*. Grażyna Legutko podjęła się trudu publikacji 33 rosyjskojęzycznych listów Marii Sieroszewskiej do ojca, a Iwona Plucner je przetłumaczyła, dzięki czemu możemy z łatwością wczuwać się w ich treść. Listy Marii pisane prostym językiem, pełne emocji, przeżyć dostarczają wielu informacji nie tylko o samej autorce, ale także o sytuacji w latach dwudziestych i trzydziestych XX wieku. Lektura listów Maszy zachęca do stawiania pytań o tożsamość, o przynależność etniczną, narodową, o multikulturalizm. Można w nich odnaleźć migawki wspomnień z lat dzieciństwa, opisy spraw bieżących, ważnych i błahych oraz przemyśleń. Są też pełne ponagleń do odpowiedzi i zapytań o ojcowskie sprawy. Ten opublikowany materiał źródłowy dla każdego czytelnika może mieć inne znaczenie i wartość. Daje możliwość osobistych przemyśleń i refleksji o minionych czasach oraz dostrzeżenia ciekawych kwestii poruszanych przez Marię Sieroszewską.

Książka Grażyny Legutko to ciekawa biografia Marii Sieroszewskiej, wzbogacona fotografiami i kserokopiami listów. Ogromna wiedza Autorki i niezwykle trud badawczy zaowocowały wiernym odtworzeniem życia zwykłej, a równocześnie niezwykle jakuckiej córki Wacława Sieroszewskiego. W lepszym zrozumieniu realiów tamtych czasów i historii zesłań pomocny jest *Wstęp* do książki napisany przez Antoniego Kuczyńskiego, o nieco przekornym tytule *Czy Wacław Sieroszewski jeszcze żyje...? Z kolei Postowie. Rozdzielenie ojca i córki, czyli dramat Wacława i Marii Sieroszewskich* Jerzego Fićko przestrzega przed jednoznaczną oceną złego ojcostwa i zachęca do dostrzeżenia złożoności tej sytuacji.

Biografia napisana przez Grażynę Legutko pozwala wejrzeć w zesłańcze życie autora *Dwunastu lat w kraju Jakutów*, ale przede wszystkim pokazuje problemy tożsamościowe dziecka pochodzącego z małżeństwa mieszanego oraz realia życia w kraju nad Leną. Autorka ustrzegła się ocen moralnych i pozostawiła Czytelnikowi miejsce na własne przemyślenia losów bohaterów. Książkę, mimo że jest naukowym opracowaniem, czyta się jednym tchem.

Małgorzata Dziura

- **Maria Andrzejewska, Aleksander Pawłowicz, *Do zobaczenia w kraju! Splątane losy pewnej rodziny*, red. i oprac. nauk. J. Owłasiuk, M. Zwolski, Muzeum Pamięci Sybiru, Białystok 2019, s. 127.**

Książka *Do zobaczenia w kraju! Splątane losy pewnej rodziny* ukazała się w serii wydawniczej *Wspomnienia i relacje* Muzeum Pamięci Sybiru w Białymstoku. Publikacja ta, to spotkanie ze świadkami historii. Historii doświadczonej, przeżytej, odciskającej piętno. Dziennik Aleksandra Pawłowicza – ojca, prowadzony na bieżąco i wspomnienia Marii Andrzejewskiej spisane po latach są dziejami jednej rodziny, ale symbolicznie łączą wszystko, co przeżywali Sybiracy.

Opowieść o rodzinie Pawłowiczów rozpoczyna się od dzieciństwa Marii urodzonej w 1920 roku, która opisuje swoich rodziców, krewnych i życie przed wybuchem II wojny światowej. W kolejnej części książki, do reminiscencji Marii dołączone są fragmenty zapisów jej ojca, leśnika pracującego na Białostocczyźnie. Obie narracje dotyczą czasu wojennego i zsyłki w głąb Rosji. Aleksander Pawłowicz pod datą 29.09.1939 zapisał: „6 rano aresztują mnie ze Zbychem [syn] i odwożą do Gabrysina. Zamykają w spichrzu [...] Zjawia się jakiś komisarz żyd i poleca odwieść nas do Białegostoku [...] Przebywam tam aż do 27 marca 1940 roku” (s. 32). Tymczasem pozostawiona w Józefinie rodzina borykała się z trudnościami bytowymi, troską o męża i ojca oraz obecnością rosyjskich żołnierzy. Jednak to nie koniec tragicznych wydarzeń. 10 lutego 1940 roku do drzwi domu Pawłowiczów puka kilku sowieckich wojaków z rozkazem opuszczenia domu i wyjazdu. Podczas nieobecności mamy, która wyjechała zobaczyć się z ojcem w Białymstoku, Maria była opiekunką młodszego rodzeństwa, to na niej spoczął obowiązek przygotowania rodziny do podróży. W swoich wspomnieniach pisze: „Wysłałem do kuchni, a za mną jeden z żołnierzy [...] Widząc, że jak lunatyk chodzę z miejsca na miejsce wziął mnie na bok i powiedział, żebym brała wszystko, bo mama gospodynią już tu nigdy nie będzie i że ja powinnam spakować ubrania, pościel, itp. – wszystko co do nas należy” (s. 38). I tak zaczęła się podróż 20-letniej dziewczyny z rodzeństwem i babcią na Sybir.

Nowy rozdział zesłańczego życia rozpoczyna *Przyjazd na Kwitok*. Marcowy dzień wyraźnie odcisnął się w pamięci młodej dziewczyny: „3 marca o świcie zmęczeni, brudni, głodni, zawszeni i częściowo zrezygnowani zostaliśmy przywiezieni do posesji Kwitok” (s. 43). Tu Maria przez długie miesiące toczyła walkę o przeżycie swoje i tych, których powierzył jej los pod opiekę. A oni nie bardzo rozumieli, dlaczego znaleźli się w tym strasznym miejscu: „Teresa ciągle chciała do mamy, a Elunia wciąż miała do mnie

pretensje: »Dlaczego nas tu przywiozłaś? Przecież tu nie ma co jeść» (s. 49), nawet babcia nie mogła oswoić się z nową sytuacją i początkowo dziwnie się zachowywała.

Niemal w tym samym czasie Aleksander Pawłowicz także zostaje deportowany, najpierw do więzienia w Mińsku, a później Połocku i Tobolsku, a pod datą 15.03.1942 napisał: „Jestem przeniesiony do leśnictwa Uwat – 140 km na północ od Tobolska [...] Życie bardzo trudne. Jedno dobre – dziś mam dość chleba. Ludność wrogo nastrojona [...] Wszystko tylko po znajomości można dostać, w legalny sposób nic nie ma” (s. 65). Ciekawe są też losy Elżbiety Pawłowicz, której dzieci zostały wywiezione na Sybir. Dla wielu Czytelników dramat matki, która dowiaduje się, że jej dzieci nie wiadomo gdzie są i co się z nimi dzieje może być zachętą do sięgnięcia po tę publikację. To właśnie dla Elżbiety czas spędzony w więzieniu i w końcu spotkanie z dziećmi, które było z jednej strony radosne, a z drugiej smutne, bo jednej z córek Elżbieta już nie mogła zobaczyć i przytulić, odeszła na zawsze był traumą. Praca i troska o byt wypełniały czas zesłańczej rodziny, ale też szukanie był kontaktu z mężem i ojcem.

Iskierka nadziei na połączenie rodziny i powrót do kraju rozświetlała ciężkie zesłańcze życie. W listopadzie 1943 roku Aleksander Pawłowicz dotarł do Kwitoka i tak to wspomina: „Złączyłem się z rodziną, choć bardzo uszczuploną. Marysia i Haneczka zabrane do wojska” (s. 117). Obie siostry znalazły się w 1. Dywizji Piechoty im. Tadeusza Kościuszki i z nią odbyły szlak bojowy. Zesłańcy nadal wiodli życie według surowych pór roku, starając się o przetrwanie aż do momentu powrotu do kraju.

Aleksander Pawłowicz wraz z żoną i córką Teresą wrócili do Polski pod koniec 1946 roku. Zamieszkali w Pomiechówku koło Warszawy, gdzie Aleksander pracował jako leśnik. Maria i Hanka zostały zdemobilizowane kilka lat po wojnie, wyszły za mąż i zamieszkały także w Polsce. Tak kończy się opowieść o syberyjskich losach rodziny Pawłowiczów, która nie upadła na duchu mimo rozdzielenia. Członkowie rodziny musieli zabiegać o przeżycie w trudnych warunkach, zapewnić sobie żywność, opał, odzienie. Umieć przetrwać długie ciężkie zimy i wytrwać w pracy. Nie tracili nadziei na odnalezienie się. Podejmowali walkę o ponowne połączenie się rodziny.

Książka *Do zobaczenia w kraju* pokazuje życie rodzinne z dwóch perspektyw. Nie często zdarza się możliwość wykorzystania cennego materiału źródłowego pochodzącego od dwóch członków tej samej rodziny, odmiennego formalnie i oddalonego czasowo. Dziennik Aleksandra Pawłowicza charakteryzują na bieżąco robione zapiski i emocjonalne przemyślenia. Jest w nim wiele notatek o florze i faunie miejsc, w których autor przebywał, napotkanych i znajomych ludziach, a czas jest mierzony dorocznymi świętami kościelnymi. Dużo pisał o jedzeniu, którego ciągle brakowało i o swoich bliskich. Pamiętnik Marii pisany po wielu latach od tych tragicznych wydarzeń jest bardziej przemyślany i składający się z opisu najważniejszych, przełomowych momentów. Czytając zapis jej przeżyć z tamtych lat ma się wrażenie, że autorka chce piórem namalować obraz, który jest mocno wyryty w jej pamięci, również przekazać, co wtedy dla niej było najważniejsze, stąd tak często pojawiające się wzmianki o brudzie, o problemach z utrzymaniem higieny, o braku jedzenia, itp.

Trochę brakuje w publikacji odpowiedzi na pytanie, dlaczego tę rodzinę spotkał taki tragiczny los. Redaktorzy tego tomu połączyli zapiski ojca i córki, gdyż trafnie dostrzegli, że: „To, co łączy dziennik ojca, ze wspomnieniami córki, to nie tylko wspólna historia, ale obraz uporczywej walki o ponowne połączenie rodziny [...]. Czytelnik znajdzie w historii tej polskiej rodziny niemal wszystko to, co przeżywali także inni Sybiracy – głód, pracę, śmierć bliskich, smutek rozstania, ale i szczęście ponownego połączenia. Są tu zarówno historie więzienne, jak i też zesłańcze z syberyjskiej tajgi” (s. 9). Te słowa Justyny Owłasiuk i Marcina Zwolskiego są najlepszą rekomendacją recenzowanej książki, po którą warto sięgnąć.

Małgorzata Dziura

- ***W łagrach i na zesłaniu, „Tak było...Sybiracy”, tom 18, Kraków 2020, s. 165.***

Na Syberię, na Sybir, na katorgę, na zesłanie to kara dla tysięcy Polaków, których za kręgiem polarnym nie czekało nic dobrego. Kraina w głębi Rosji stała się więzieniem bez krat i murów dla wrogów władzy carskiej, bolszewickiej, a później komunistycznej.

W podróż do łagrów i katorżniczych miejsc zabierają czytelników relacje wspomnieniowe Stanisława Kordala i Zofii Szemioth opublikowane w 18 tomie serii „Tak to było...Sybiracy”. W słowie *Od Redakcji* można przeczytać: „Książka zawiera dwie relacje z przymusowego pobytu na terytorium ZSRR, podczas II wojny światowej i po jej zakończeniu. Autorzy wspomnień to: Stanisław Kordal, oficer Wojska Polskiego i żołnierz Armii Krajowej, aresztowany przez NKWD 9 marca 1945 roku, w miejscowości Brzozdowce, w województwie lwowskim [...] i Zofia Szemioth (w zakonie siostra Kinga), deportowana 13 kwietnia 1940 roku, razem z matką i trzema młodszymi siostrami, z majątku rodziców na Wileńszczyźnie do sowchozu w północnym Kazachstanie” (s. 9-10). Te niezwykle, osobiste zapiski ludzi, którzy doświadczyli zsyłki są również przejmującym obrazem warunków życia, pracy i prób wynarodowienia na „niehumanitarnej ziemi” rzeszy polskich zesłańców.

Stanisław Kordal w latach osiemdziesiątych XX wieku wrócił pamięcią do czasu 10 letniego pobytu w Republice Komi i opisał swoje doznania z tamtego okresu. Autor wspomnień był wojskowym, członkiem AK i jako wróg ówczesnej władzy został wywieziony do Workutołagru w 1945 roku, gdzie przebywał do 1955 roku. W Brzozdowcach zostawił żonę i dwie córki. Wschodnią gehennę rozpoczął od 21.dniowej podróży w tragicznych warunkach za Koło Podbiegunowe. Tam razem z innymi zesłańcami, pełen obaw i dręczących pytań: „Co z nami zrobią? Jaki los czeka nas jutro, za tydzień? [...] Czy wytrzymamy upośledzenie, nędzę? (s. 35) rozpoczął katorżnicze życie. Mieszkanie w barakach, praca przy odśnieżaniu toru kolejowego w zimowych warunkach i nieustanny brak pożywienia to codzienne życie Autora. Ten czas tak wspomina: „Po roku pracy przy odrzucaniu śniegu z toru kolejowego zostałem wyznaczony do brygady awaryjnej. W okresie bardzo niskiej temperatury, 50° do 60° C poniżej zera, szyny pękały na stykach pod ciężarem przejeżdżających wagonów załadowanych węglem. Zadaniem brygady było, bez względu na porę dnia czy nocy, wymieniać uszkodzone

szyny. Praca była bardzo ciężka przy tak niskiej temperaturze” (s. 38). Stanisław Kordala dużo pisze o jedzeniu, którego ciągle brakowało: „Myślało się tylko o jedzeniu i o tym, jak zdobyć coś do zjedzenia” (s. 39). Wątek braku pożywienia niemal zawsze pojawia się w zesańczeniach wspomnień. Współczesnemu człowiekowi żyjącemu w czasach kultury konsumpcyjnej, trudno zrozumieć, jak o kromkę chleba, talerz zupy, garść kaszy trzeba było walczyć. Autor wspomnień jest człowiekiem przedsiębiorczym, zaradnym i trzeźwo myślącym. Ima się różnych dodatkowych zajęć, wykorzystuje nadarzające się sytuacje i lawiruje wśród przeciwności losu, by przeżyć, jak sam stwierdza: „Ci, którzy byli bardzo zaradni przetrwali, pozostali zmarli z głodu i wycieńczenia” (s. 42). I dla czytelników spragnionych sensacji są różne wątki nielegalne, a nawet przestępcze – kradzież bochenka chleba, rzepy, kradzież węgla z wagonów, oszustwa naczelników łagrów i rosyjskich żołnierzy. Stanisław wraz z innymi zesańcami był przetrucany z jednego miejsca w inne. Pracował jako drwal w lesie, wykopywał korzenie drzew pod tory kolejowe, piłował deski. Te wszystkie prace były ciężkie i ponad siły. Słowa samego Autora wspomnień najlepiej oddają warunki życia na zesłaniu: „Już 3 lata cierpiemy głód. Myślimy o jednym – jak zdobyć coś do jedzenia [...] Rano nie mogłem rękami ruszać, bolały bardzo, wszystko mnie bolało – najbardziej szyja. Kazio też mówił, że bolą go ręce [...] Zmuszaliśmy się aby chociaż trochę zrobić w tym dniu – aby coś zarobić – inaczej nawet ten marny przydział żywności nie byłoby za co wykupić” (s. 62). Wspomnienia Stanisława Kordala nagle i niespodziewanie się urywają. Ten niedokończony zapis zesańczego życia przerywa śmierć Autora. Z relacji żony Janiny Kordalowej dowiadujemy się o dalszych losach jej męża.

Uzupełnienie Janiny Kordalowej z domu Sawickiej do wspomnień męża uszczegóławia wspomnienia Stanisława. Janina po aresztowaniu męża była w niebezpieczeństwie, groziło jej również aresztowanie, więc ukrywała się najpierw w Brzozdowcach, a później u rodziców we Lwowie. Na „lewych” papierach udało się jej wyjechać na Zachód. Pisze: „Wyjeżdżałam na Zachód jako panna z dwojgiem nieślubnych dzieci, co było bardzo dobrze widziane w urzędach radzieckich” (s. 66-67). Przebywała w Strzelcach Opolskich, później w Zabrze, a od 1946 roku we Wrocławiu. Janina oficjalnie nigdy nie podawała, że jej mąż to zesłaniec, bo „zdaniem władz, każdy wywieziony to przestępca. Mówiłam zawsze i pisałam, że mąż w czasie działań wojennych zaginął bez wieści. To samo miały nakazane mówić dzieci” (s. 69), ale robiła wszystko, by nawiązać kontakt z mężem. O staraniach żony, a nawet walce o odzyskanie męża z sowieckiej niewoli można przeczytać na kartach recenzowanej publikacji. Historia rozłączonego małżeństwa znalazła szczęśliwy finał. Stanisław Kordal wrócił do Polski, gdzie zajmował się pracami budowlanymi i realizował swoją chóralną pasję. Był również zainteresowany językiem esperanto.

Drugie wspomnienia opublikowane w „Tak było... Sybiracy” spisała Zofia Szemioth (siostra Kinga od Chrystusa Króla), które zatytułowała *Wspomnienia z zesłania na Syberię i pobytu w łagrze*. Rodzina Zofii Szemioth nikogo nie skrzywdziła, niczym nie zawiniła, a nagle musiała się mierzyć z zesłaniem i stanąć oko w oko z okropieństwami katorżniczego życia. Zofia miała 15 lat, kiedy w nocy z 12 na 13 kwietnia 1940 roku znalazł się z mamą i siostrami w pociągu wiozącym ich w nieznaną dal. Ta dal szybko okazała się kazachstańskim sowchozem Czystowskoje. W pamięci młodej dziewczyny

mocno odcisnęła się zesłańcza codzienność i nawet po wielu latach wróciły wspomnienia zmagają z pracą, głodem, chorobami, zimnem. Dla Zofii i jej rodziny Syberia była groźna, z niesprzyjającymi warunkami życia, gdzie lato jest krótkie i upalne, a zima mroźna i niebezpieczna, gdzie trzeba walczyć o byt, o każdy kęs chleba. Autorka wspomnień pisze: „Żeby nie zginąć z głodu, musieliśmy nielegalnie brać pszenicę z sowchozu [...] Za zabranie pszenicy choćby do kieszeni, groziła kara 2 lat więzienia. Lecz innej rady nie było. Wszyscy kradli, z tą różnicą, że zwykli robotnicy brali po trochu, do dużych kieszeni, czy jak kto umiał, a naczelnicy podjeżdżali koniem i gdy nikogo nie widzieli brali workami” (s. 108). Najbardziej bolesne są wspomnienia Zofii z dwuletniego pobytu w łagrze nad jeziorem Bajkał. W ramach tak zwanej akcji „paszportyzacji” – nadania sowieckiego obywatelstwa osoby powyżej szesnastego roku życia pod „prośbą i groźbą zmuszano do podpisania zrzeczenia się obywatelstwa polskiego, a przyjęcia paszportu – dowodu osobistego – z obywatelstwem sowieckim” (s. 117-118). Zofia Szemioth nie ugięła się pod wpływem nacisków, ale bardzo mocno to odpokutowała, została skazana na dwa lata łagru – obozu pracy. Wraz z nastaniem nowej rzeczywistości Autorka wspomnień zmuszona była walczyć o przetrwanie. Mieszkanie w barakach, praca ponad kobiece siły przy budowie drogi, marne jedzenie, zimno i choroby to obozowa codzienność. Zofia pisze: „W barakach pełno wszy i pluskiew [...] Pewnego dnia od razu kilka osób dostało wysokiej gorączki, następnego dnia jeszcze więcej. Dopiero wówczas zrobił się ruch, przyjechały wyższe władze, przysłano lekarza. Okazało się, że wszyscy mają tyfus plamisty roznoszony przez wszy” (s. 129-130). Oprócz tyfusu zesłańcom doskwierała kurza ślepotą wywołana awitaminozą, świerzb i szkorbut. Oprócz chorób fizycznych zesłańcze dusze trawiła też tęsknota za bliskimi, rodzinnymi stronami, niepewność jutra i nieustanny strach. Powszechne złodziejstwo powodowało, że trzeba było w obozie strzec nieustannie swojego mizernego dobytku. O ucieczce z łagru nikt nie myślał, bo jak stwierdza Zofia Szemioth: „Mimo że chodziliśmy do pracy bez konwoju o ucieczce nie było mowy. Gdyby ktoś miał 10 lat łagru, czy więcej, może opłaciłoby mu się próbować ucieczki, przy 2 latach nie. Uciekać przez wysokie góry bez jedzenia, bez jakiegokolwiek pomocy niepodobna” (s. 134). Zofia w 1945 roku opuściła łagier i rozpoczęła podróż ku wolności i swojej rodzinie. Do 1946 roku trwała zsyłka rodziny Szemiothów, po sześciu latach wywiezienia na Syberię, gdzie doświadczyła wyczerpującej pracy fizycznej, głodu, ciężkich chorób i zimna wróciła do kraju.

Często Syberia postrzegana jest poprzez pryzmat narodowej martyrologii i zatajanych faktów. Każde wspomnienie, dziennik, pamiętnik czy zapisek staje się poruszającym świadectwem prawdziwego zesłańczego życia. Zarówno we wspomnieniach Stanisław Kordala, jak i Zofii Szemioth nie ma patetyzmu, ale jest za to autentyzm. Ich opowieści to opisanie tego, co przeżyli i doświadczyli. Dziś zapis tych wspomnień staje się świadectwem historii przeżytej. Oba wspomnienia stanowią fragment przeogromnej „literatury zesłańczej”. Zarówno czytelników obeznanych w temacie, jak i nowicjuszy, którzy pragną dowiedzieć się czegoś o zesłaniach zainteresuje lektura „Tak było... Sybiracy”. Recenzowaną publikację ponadto ubogacają fotografie, kserokopie dokumentów i krótkie życiorysy autorów wspomnień.

Małgorzata Dziura

- **Adam Wołk, *Wspomnienia z północnego Kazachstanu z lat 1940-1946*, Puławy 2020, s. 220.**

Wydanie tej książki miało swoją długą historię. Zaczęło się czterdzieści lat temu, w grudniu 1980 roku, kiedy to autor Adam Wołk przystąpił do spisywania dziejów swojego pobytu na Syberii. Praca nad przelaniem na papier syberyjskich losów zajęła mu sporą część życia i dopiero niedawno zaowocowała publikacją *Wspomnienia z północnego Kazachstanu z lat 1940-1946*, wydaną przez Instytut Uprawy, Nawożenia i Gleboznawstwa w Puławach.

Lekkie pióro i niewątpliwy talent narracyjny Adama Wołka sprawiły, że owoc jego benedyktyńskiej pracy – dwustustronicowe dzieło – to pasjonująca lektura, wciągająca już od pierwszego rozdziału. Autor poprzedza swą „Syberiadę” notą o rodzinie, szczycącej się zaiste pięknym rodowodem. Wołkowie jako szlachta herbowa posługiwali się herbem nadanym przez króla Zygmunta III Wazę. Dziadek autora, Gustaw Wołk, właściciel księgarni w Wilnie, gdzie „wydawał broszury postępowe”, został skazany przez władze carskie za działalność socjalistyczną na 5 lat zesłania na Syberię. Można więc powiedzieć, że już wtedy ten rejon Azji splótł się mocno z losami rodziny. Jedną z babć Adama Wołka „zaliczyła” wywózkę na Syberię aż trzykrotnie!

Szlacheckie, ziemiańskie pochodzenie okazało się dla rodziny mieszkającej na wschodnich rubieżach przedwojennej Rzeczypospolitej przekleństwem. Kiedy po 17 września 1939 roku na tereny te wkroczyła Armia Czerwona, zaczęły się wywózki i okoliczne dwory pustoszały jeden po drugim. W kwietniu 1940 roku przyszedł czas na rodzinę Wołków. Pewnego dnia polecono im spakować manatki i odtransportowano na stację kolejową. Bydłęcymi wagonami jechali przez 16 dni do północnego Kazachstanu, w rejon Kirgizji, by tam jako wrogą element burżuazyjny przejść reedukację w kołchozie. Zasilili grono 165 kołchoźników we wsi Połtawka, obrabiających kolektywnie 27 000 ha ziemi.

Losy rodziny rzuconej w bezkresne stepy Azji, jej codzienna walka o przetrwanie w spartańskich warunkach i mniej lub bardziej udane próby przystosowania się do syberyjskiej rzeczywistości tworzą w książce Adama Wołka fascynujący obraz, odmalowany przez autora niezwykle sugestywnie dzięki bogactwu szczegółów. Jedenastoletni wówczas Adaś miał, jak widać, fenomenalną pamięć i dar obserwacji. Dzięki tym szczegółowym opisom czytelnik przedzierzga się w bezpośredniego obserwatora wydarzeń. Step w książce Adama Wołka, owo *morze traw o lśniącej, jedwabistej, miękkiej fali* jawi nam się przed oczami jak coś, czego można niemal dotknąć. Niemal widzimy chatę krytą trzcina, zbudowaną z ubitego czarnoziemiu zmieszanego ze słomą. Niemal czujemy dym z pieca chlebowego, opalanego kiziakiem – suchym gnojem przynoszonym ze stepu.

Autor posiłkuje się arcyciekawym dokumentem – własnymi odręcznymi zapiskami z tamtych lat, sporządzanymi równym dziecięcym pismem na jakichś karteluszka.

9 maja była zawieja. Dziś 10 maja jest trochę spokojniej, śnieg topnieje. Teraz jest trudno z opałem. Słoma i kiziak zamokły, więc źle się pali. Wyciągamy słomę z sienników.

11 maja. Jestem przeziębiony, kaszlę, mam okropny katar. Babcia leży chora [...] Ciocia poszła po jajka do kooperatywy, ale nic nie dostała.

13 czerwca. Dziś ja z ciotką poszliśmy do kantorki, tam powiedział nam przedsiębiorca, żeby szukać sobie kwatery, bo dom sprzedają. Dwa miesiące temu wygonili nas z jednego mieszkania, teraz za dwa miesiące z drugiego. Komary są tu straszne. Myszy już się złapało 28 sztuk.

19 lipca. Teraz są upały w słońcu po 56 stopni gorąca, a w cieniu 36 stopni. Wiatr jak z pieca, strasznie gorący. U nas takich upałów nie bywało. Pleć już kończymy, drugi raz, teraz jest trochę lżej, bo mniejsze ziele i nie trzeba łązić na czworakach, tylko z gracką. Kartofle mają pączki, fasola już ma po cztery listki, groch też. [...] W studniach wody mało – nasz sznur nie dostaje.

25 lipca. W niedzielę była burza. Jednej szyby jest tylko pół, a druga połowa jest założona dyktą, to wiatr oderwał, lało się na stół, na podłodze była kałuża. Dach jakoś nie przeciekł, tylko w sieniach się lało, bo dach z gliny. [...] Wiatr wiatraki powywracał [...] Groch już zaczyna kwitnąć, ale tylko niektóre.

15 października. Kartofle już we wrześniu wykopaliśmy, było 12 pudów. Na zimę to za mało. Drzewa mamy też za mało [...]. Piątego października spadł śnieg. Dziś był duży mróz, a wczoraj była odwilż to kopali kołchoźne kartofle.

Większość szczegółów pobytu w Kazachstanie autor czerpał jednak wyłącznie ze swojej pamięci. Podkreślenia godnym wydaje się fakt, iż w ten sposób przechowywał wspomnienia z sześciolatniego pobytu na wygnaniu przez z górą trzydzieści lat. Dopiero po tak długim czasie zdecydował się swoje i swojej rodziny losy spisać, widząc szansę na zmianę sytuacji politycznej w kraju i na możliwość ujawnienia pewnych ocenianych dotychczas rozdziałów naszej historii. Jak mówi – w zachowaniu pamięci o przeżytych na Syberii latach bardzo pomogła mu „historia mówiona” – opowiadał kolejne epizody syberyjskiej epopei swoim dorastającym córkom wieczorami na dobranoc.

Ze względów oczywistych syberyjskie wspomnienia Adama Wołka nie mogły być zilustrowane żadnymi fotografiami, a dokumenty rodzinne dotyczące tego okresu są więcej niż skąpe. Ale i z tym problemem autor – człowiek wielu talentów – poradził sobie. Chwytał za ołówek i ze swojej przebogatej pamięci odtworzył w cyklu rysunków narzędzia, sprzęty używane w gospodarstwie domowym, sanie, zaprzęgi a nawet specyficzny gatunek miejscowego bydła o rozłożystych rogach.

Adam Wołek był przez wiele lat pracownikiem naukowym puławskiego Instytutu Uprawy, Nawożenia i Gleboznawstwa. Kiedy zmieniła się w Polsce sytuacja byłych zesłańców na Syberię i reaktywowany został Związek Sybiraków, natychmiast przystąpił doń i uczestniczył w tworzeniu koła w Puławach. Prowadził w oddziale puławskim Komisję Historyczną. Wraz z prezesem Edwardem Jabłonką tworzył komisję weryfikacyjną do spraw przyznawania uprawnień kombatanckich. Za najważniejsze osiągnięcie uważa fakt zrównania pobytu na zesłaniu z pobytem w hitlerowskich obozach koncentracyjnych. Ofiary dwóch reżimów totalitarnych wreszcie na równi zaznały sprawiedliwości.

Hanna Pawłowska